

Maciej Robert - *Puste pola*



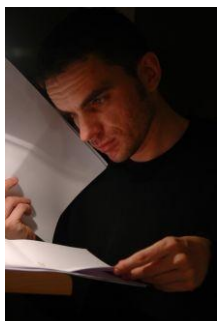
Maciej Robert *Puste pola*, Łódź 2008

stron 60, oprawa miękka

redakcja: Piotr Grobliński, Mariusz Grzebalski

opracowanie graficzne: Paulina Narolewska

zdjęcia: Maciej Robert



Maciej Robert (1977) - łodzianin, autor tomiku *Pora deszczu* (wydawnictwo Ha!art, Kraków 2003), laureat nagród poetyckich im. Rilkego, Wojaczka, Baczyńskiego, Herberta. Publikował w "Studium", "Opcjach", "Gazecie Wyborczej", "Ha!arcie", "Frazie", "Tyglu Kultury", "Pro Arte", "Toposie". Jego wiersze były tłumaczone na język angielski, chorwacki i serbski. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ZAKOLE

Ręce są bezczyenne przy zabawie w trupa.

Przy goleniu, myciu, szorowaniu skóry
wklęsłym, wytartym pumeksem. Szorstkim,
jak tylko szorstki może być trupi zarost, nader

odpowiednim, lekkim niczym zaschnięta piana
w zaroślach tej rzeki, nad którą leżymy, skąd
ciągle podglądamy rój chmur łaskotanych przez
trawy przy byle podmuchu. A przecież i tutaj

podpełźnie dojrzały upał, a przecież i nas uda się
poderwać, przecież i my również posiadziemy
niedosiętną wyspę, umocnimy brzegi, na samym
jej środku zbudujemy tron. Będziemy stąd podziwiać

festiwal przyboju. Na dnie ślady stóp powoli się
wypełnią. Wodą, piaskiem, mułem. A w szlamie
rozbłyśnie przezroczysty skrzek, zatańczy tam plankton;
na łądzie – otoczka z bukszpanu wokół martwych pni.

AKWARIA

Jest upał, jest upał, jestem małym szkrabem, powietrze
faluje i ja wraz z powietrzem nasiąkam wilgocią,
nabrzmiwam i puchnę, zanim zdążę wstać. Jest upał,
jest upał, powietrze jest ciężkie i nad wyraz lepkie,

jak odwłoki pszczoł krążących nad sadem, kiedy

wreszcie idę na poranny obchód. Jest upał, jest upał,
lecz ciało mam blade i widać dokładnie na spodzie
przedramienia siateczkę małych żyłek, czerwonych

i cienkich, lekko trzepoczących. Odnóża rozwiłitek
w sklepie zoologicznym są niemal takie same. Lecz
dziś znowu zamknięte. Jest upał, jest upał, zielonkawy
zamsz wgryzł się w brudne szyby, garść tłustych

glonojadów zostawiając w tyle. Kilka rybek zdechło,
nad powierzchnią wody lśnią pękate brzuchy, nadgryzione
płetwy. Właściciel jest na gazie odkąd go pamiętam –
jednego z tysięcy osiedlowych wujków. Jest upał, jest

upał, wyobrażam sobie jak pije gdzieś nad rzeką,
zasypia i wpada w cementową otchłań. I widzę potem
trupa w podartej koszulce i nie czuję żalu, gdy idzie
na dno, a kilka dni później szlam grabiony zwinnie

z sinych ust topielca suszy się na słońcu w fantazyjny
warkocz. I nie czuję żalu, miałem coś po nim dostać
(daleka rodzina?), a on jak na złość nie chciał
nigdy umrzeć. Jest upał, jest upał, jest mi całkiem

dobrze i wtedy się pojawia, gwizdząc coś pod nosem,
w spoconej koszulce i z butelką piwa. Jest upał, jest
upał, powietrze faluje, jest ciężkie i lepkie. Mam mu to
wtedy za złe: papugi skrzeczące, gdy przekręca klucz.

MIMIKRA

tylko wtedy, bo dziś to większy rów, jak nic
do przeskoczenia przy lepszym rozbiegu.
Wówczas – koniec drogi, tęczowe spadochrony

jak bańki mydlane (nie pękały chyba?) siadały
na ziemi za zasięgiem wzroku. Choć raz nam się
udało, godzinka piechotą, lecz przecież opłaciło
przedzierać się przez chaszczę, zbierając wciąż

wzdłuż łydek ranki po pokrzywach, malutkie
stygmaty (kiedy próbowałaś zaraz je rozdrapać,
krwawiły nieznacznie, lizałem twój palec śniąc
o tajemnicy, o jakiejś przysiędze). Koc wisiał na

krzaku (zielony oczywiście!), przetarty w kilku
miejscach, więc odłamek słońca mógł jeszcze nas
trafić i w takim przypadku tasiemka obszycia
przynosiła chłód. Dwie zmechacone bluzy leżały

pod spodem (seledyn i brąz), tuliliśmy się do nich
w ten śmieszny, rybi sposób – zupełnie jak cierniki,
gdy, spłoszone czymś, chowają się szybko w muliste
rozstępy. W podbrzuszach samolotów odbijało się

nasze popołudnie w chwastach, a nas nie było widać,
lądowały szybowce, roztrzęsione dłonie sięgały ciut
powyżej kolan. Cała w nerwach brałaś wtedy do ust
wątłe łodygi traw – byłem pewien, że jesteś tylko

o to źdźbło cięższa od powietrza. I każde z nas miało
osobiste racje. Za wzgórzem z wściekłością ryczały
silniki (zawody motocrossu w każdy poniedziałek).
Ale o tym dowiemy się jutro. O całej reszcie później.

OBROTY

Noc wzięła i poszła. Teraz trzeba przewietrzyć
znaki wygniecione w stęchliźnie pościeli (grzech
zostawić tak wszystko), rozwiesić ją na pręcie
wyczyszczonym z rdzy, gdzieś w kącie ogrodu.

Wilgoć je wypleni, do spółki z powietrzem,
dopiero pod wieczór. Przyjdiesz tu po śladach
wytrawionych w ziemi, po magistrali liści,
po trasie owadów lecących wprost do blasku.

Kolana i uda, ciągle jeszcze białe – będą dotykane
cały czas od nowa. Wracając, jak zwykle przejdiesz
obok studni, gdzie mości się echo, uparte nawroty
dwóch pajęczych starań. Wszystko po staremu.

ŚMIECI

I.

Za dwa lata nie będzie już tego domu. Taka dysproporcja
w zabudowie ulicy, naniesiona przez śmierć. A ona jeszcze
poprawia makijaż i pościel, którą wniosła w posagu, wynosi

na parapet. Tę samą, pod którą kochali się tak często, aż
kiedyś jej stopa rozerwała haftki, wysuwała guzik i rozdarła
poszewkę – ślad został do tej pory. Za dwa lata nie będzie już

niczego, w monogramie na kołdrze wyblakną litery, a jej
dzieci wszystko wyrzucą na śmietnik. Cała kamienica runie

nagle w dół, potem nawet mleczce zawędrują na pozostałość

dachu, a resztkami rynien popłyną strużki gruzu. I strzępki tapet
trzeptać będą jak skóra na pozdzieranych kolanach szkolnej
hałastry biegnącej przez podwórko. Dawniej darła się na nich

II.

pospołu z sąsiadem. A przecież i on, i on także przecież! Taki,
panie, zawsze besserwisser, a nie przewidział tego, że w którąś
tam z niedziel, jeszcze pół do trzeciej, ciągle będzie leżał na

swoim tapczanie, tym w brązowe wzorki, tak jakby się zdrzemnął
na chwilę po obiedzie. Dopiero ta z góry dojrzała przez firankę,
że nad żółtkiem ropy, co wyciekła z oka, rozsiadła się mucha. On,

zawsze tak zaradny, mógł teraz tylko leżeć, nie przewidział tego,
pochował większość ubrań w sobie znanych miejscach i chować
go musieli w składkowym garniturze. Ukrył też narzędzia, a wśród

nich sekator – wnet po jego śmierci żywopłot się puścił w te pędy
bielutkie. I zielone buchnęło w każdą ze stron. Za dwa lata
będą wywalać tam śmieci, robaczywe światło umości się w bzach.